



PODLASIE.

Znanym jest powszechnie fakt, że nazwy geograficzne odznaczają się wielką trwałością, że nieraz są w stanie przeżyć nie tylko zmiany polityczne, ale nawet i etniczne. Zdarza się jednak niejednokrotnie, że pod wpływem wypadków politycznych nazwy geograficzne o charakterze terytorialnym, jakkolwiek nie giną, lecz zmieniają swe znaczenie, zaczynając służyć do oznaczania mniejszego, większego, lub nawet zgoła innego terytorium. Na ziemiach polskich charakterystyczny przykład tego rodzaju przedstawiają zmiany zna-

czenia terminu „Podlasie“. Obecnie miano „Podlasia“ nadawane bywa gubernii siedle-



rys. Jan Olszewski.

STARY DOM W WĘGROWIE.



ckiej, która w rzeczywistości obejmuje tylko skrawek dawnego historycznego Podlasia (dzisiejsze powiaty węgrowski, sokołowski, część siedleckiego i radzyńskiego), składając się nadto z ziemi Stężyckiej (dawny zawiślański aneks województwa sandomierskiego), z ziemi Łukowskiej (dawne województwo lubelskie), wreszcie z części ziemi Czerskiej i ziemi Liwskiej (dawne województwo mazowieckie). Natomiast cząstka dawnego województwa podlaskiego — mianowicie tykocińskie i rajgrodzkie—należy obecnie do guberni łomżyńskiej, cała zaś jego połać północno-wschodnia, która po pokoju tylżyckim 1807 roku utworzyła tak zwany obwód Białostocki, wchodzi obecnie w skład guberni grodzieńskiej i nie bywa już prawie nigdy nazywana Podlasiem. Widzimy więc, że terytorium, mianowane Podlasiem w wieku dziewiętnastym i dwudziestym, nie jest bynajmniej jednoznaczne z częścią Polski mianowaną „Podlasiem“ w stuleciach siedemnastym i osiemnastym, to jest z dawnym województwem podlaskim. Jeżeli się jednak cofniemy jeszcze dalej wstecz, poza Unię Lubelską, to przekonamy się, że w dobie jagiellońskiej termin „Podlasie“ nadawano terytorium znacznie rozleglejszemu, bo obejmującemu późniejsze województwa podlaskie i brzeskolitewskie (obecnie część guberni grodzieńskiej i mińskiej).

Tak wielkie zmiany, jakim ulegało znaczenie terminu „Podlasie“, było prawdopodobnie rezultatem tej okoliczności, że ziemia nazywana Podlasiem nie miała naturalnych granic geograficznych, któreby ją silnie wyróżniały od ziem okolicznych, z drugiej znów strony i pod względem etnicznym nie było nigdy Podlasie oddzielną w sobie zamkniętą całością. Zarówno więc pod względem fizycznym jak i etnicznym zlewało się Podlasie zupełnie na północo-zachodzie z Mazowszem, na południo-wschodzie z Rusią.

W poglądach swych na pochodzenie słowa „Podlasie“ do niedawna jeszcze różnili się pomiędzy sobą uczeni: obecnie zarówno nasi historycy z Jabłonowskim na czele, jak i rosyjski dziejopis Lubawskij, zgadzają się, że nazwa ta niema nic wspólnego z lasami, że nie miała oznaczać krainy leżącej „pod lasami“ lecz „pod lachami“, to jest na polskiej rubieży. „Podlasze-Podlasie“

jest więc nazwą ruską, używaną pierwotnie przez rusinów poleskich; od nich dopiero przyjęli tę nazwę polacy-mazurzy, którzy pierwotnie, jak sądzi Jabłonowski, nazywali kraj oznaczany później mianem Podlasia — „ziemią Jaćwieżską“. Kiedy nazwa Podlasia ustaliła się wśród ludów okolicznych, ustalić dziś trudno, wiemy jednak, że pod rokiem 1182 używa tego terminu jedna z kronik ruskich: w źródłach polskich pierwszy Kadłubek († 1225) posilkował się terminem „Podlasiacy“ (Pollexiani) dla oznaczenia jądźwingów. Jak się więc zdaje, nazwy: „Podlasie“ i „kraj jądźwingów“ były pierwotnie prawie jednoznaczne, później, gdy jądźwingowie w walce z mazurami i rusinami wyginęli prawie do szczętnie, nazywano Podlasiem wschodnią część ich dawnego terytorium, zagarniętą przez rusinów. Części zachodnie dawnej Jaćwieży, a mianowicie pas północny, idący od Goniądza ku południowi przez Narew i Bug, zajęty przez książąt mazowieckich, i pas południowy, zagarnięty przez małopolan pod nazwą ziemi Łukowskiej, stawszy się czysto laską krainą, nie były już nazywane Podlasiem.

Gdy w roku 1320 książęta litewscy opalowali wraz z Rusią zachodnią Podlasie, rozciągało się ono od granicy pruskiej do granic ziemi Łukowskiej i Chełmskiej, na zachodzie stykało się z Mazowszem u ujść Biebrzy, Nurca i nad brzegiem Liwca, od wschodu miało za niepewne granice łańcuch puszczy, zalegający wododział dorzecza Narwi, Buga z jednej, a Niemna i Jasioldy z drugiej strony.

Ustalenie jednak granic podlaskich pomiędzy Mazowszem a Litwą nie było rzeczą łatwą. Wiele dziesiątków lat okolice Goniądza, Tykocina, Węgrowa były terytorium spornym, przechodzącym z rąk do rąk. W roku 1358 miało miejsce oficjalne rozgraniczenie terytorium mazowieckich od litewskich. Akt graniczny ówczesny, szczęśliwie przechowany do naszych czasów, daje nam dość dokładne pojęcie o zachodniej granicy Podlasia. Otóż granica podlasko-mazowiecka rozpoczynała się około Kamiennego Brodu na granicy pruskiej, szła na Rajgród ku rzece „Miecie“, stamtąd korytem „Miety“ (Nety) aż do jej ujścia do Biebrzy, poczem tą rzeką do „Targowiska“ w pobliżu Dobo-



sowa, następnie do ujścia „Wielkiej Strugi“ a tej brzegiem do źródeł „małej Sucholdy“ (późniejszej Nereśli), korytem której do rzeki Supraśli, na koniec Supraślą do „Popielowego Siedliska“, prawdopodobnie znajdującego się nad Narwią, a stamtąd do „Niewotyńca ujścia“ znajdującego się, jak sądzi Jabłonowski, naprzeciw granicznej również, a płynącej z lewej strony Narwi — Sliny.

Zawarte w granicach opisanych przez nas Podlasie już w wieku XIV zaczęło się różniczkować i dzielić na dwie coraz bardziej oddalające się od siebie ziemie: Drohicką, leżącą na północy, skupiającą się około prastarych grodów Drohiczyna, wspomnianego w źródłach historycznych już w roku 1152, tudzież Bielska, i ziemię Brzeską na południu — koncentrującą się około starszego jeszcze, bo już w roku 1019 wzmiankowanego Brześcia.

Ziemia Drohicka, która w działach pomiędzy synami Giedymina przypadła Kiejstutowi, graniczyła bezpośrednio z Mazowszem, była też pod ciągłym wpływem kulturalnym plemion polskich; natomiast ziemia Brzeska, stykająca się z Polesiem i Wołyniem, nie przestawała otrzymywać najżywniejszych soków z Rusi. W ten sposób podział ówczesnego Podlasia na ziemię Drohicką i Brzeską odpowiadał mniej więcej podziałowi wpływu dwóch kultur, spotykających się na tej granicznej ziemi.

Przedział pomiędzy dwiema częściami Podlasia zwiększył się jeszcze, gdy w roku 1391 nadał Jagiello „Ziemię Drohicką z zamkami i powiatami mielnickim, surażskim, biel-

skim“ — księciu mazowieckiemu Januszowi. Wprawdzie nie długo siedzieli mazurzy w Drohiczynie — wkrótce bowiem powróciła ona pod władzę Kiejstutowego syna, spadkobiercy Witolda, jednakże i podczas krótkich rządów księcia Janusza kultura polska zrobiła tam ogromne postępy. Zresztą i wielki Witold, zawładnąwszy ziemią Drohicką, nie przestawał popierać emigracji szlachty mazowieckiej i polskich mieszczan, widząc w nich pionierów tej kultury zachodniej, którą pragnął rozniecić w swych ziemiach. Na początku wieku XV polonizacja Drohiczyny jest tak daleko posunięta, że rycerstwo miejscowe czuje się już w niewoli pod panowaniem litewskim i chce się przyłączyć do Mazowsza. Oto po zabójstwie księcia Michała Kiejstutowicza w roku 1440 starosta drohicki Nassuta, mazur z pochodzenia, opierając się na polsko-mazurskiem rycerstwie, poddaje Drohiczynę księciu Bolesławowi mazowieckiemu. Wielki książę litewski Kazimierz Jagiellończyk z bronią w ręku musiał zdobywać drohickie Podlasie i dopiero w roku 1444 przyłączył je na nowo do Litwy. Wysiłki jednak, ponoszone podczas kilkoletniej walki przez rycerstwo podlaskie, nie poszły bynajmniej na marne, posiadało ono bowiem teraz wielką — doniosłą w swych skutkach zdobycz. Oto Kazimierz Jagiellończyk zmuszony był nadać szlachcie mazurskiej na Podlasu prawo polskie. Tak zwany przywilej drohicki 1446, pozwalający podlasiom „cieszyć się“ prawem polskim, miał się stać wielką chartą swobód dla Drohiczyny.

D. N.

I. T. Runo.



O ZNACZENIU WYKOPALISK. ⁴⁾ (dok.).

Przytoczona ustawa powinna nas bliżej zainteresować ze względu na podkreślone słowa jej § 9; upoważnia ona prawdopodobnie i towarzystwa polskie do eksploatawania odnośnych terenów. Najcie-

kawszy jest § 10, traktujący o wywłaszczeniu terenów znalezisk: zarządzenie to jest bardzo ważne i rozsądne. Samo przez się rozumie się, że takie tereny jak ten, na którym prof. Amalickij znalazł znakomite oka-



zy (Theromorpha) nad północną Dźwiną, powinny być własnością państwową, ażeby umożliwić poszukiwania kompetentnym osobom i instytucjom i zabezpieczyć szczątki zwierzęce od chciwości i kaprysów miejscowych właścicieli, różnych drapieżnych przedsiębiorców, a niekiedy... od zniszczenia skarbów naukowych przez nieproszonych „miłośników“ amatorów. Pod nazwą „miłośników“ mam tu na myśli osoby, nie interesujące się na serio nauką, lecz zbierające „rzadkości“ wprost z amatorstwa, dla zadowolenia wrodzonej chęci kolekcjonowania i t. p. Prawdziwi miłośnicy nauki, jakich wielu posiada Anglia, mogą oddać geologii nieocenione usługi. Usługi te mogą być „bierne“, wykazując się w zbieraniu skamieniałości, kierowanych potem do specjalistów dla określenia, we wskazywaniu geologom ciekawych pod względem paleontologicznym odkrywek i t. p., lub też „czynne“, skoro miejscowi amatorzy będą samodzielnie studiowali miejscowość, opisywali jej budowę, badali „życie“ rzek i wąwozów, wody gruntowe i t. p. Geolog, bawiąc tylko chwilowo, przejazdem w każdym kamieniołomie, nie jest w stanie zebrać większej ilości skamieniałości, ale miejscowy zbieracz, zbierając przez dłuższy czas okazy i oznaczając dokładnie miejsce (warstwę), z której pochodzą, może oddać geologii wielkie usługi.

Ameryka północna wyprzedziła Europę w niszczeniu bogactw naturalnych; wyprzedziła jednak i w dziale ochrony przyrody. Niezależnie od powstania wielu „parków narodowych“, jeszcze 1895 roku w Arizonie założono nietykalny obszar o powierzchni 10 mil kwadratowych, przeznaczony do zachowania całego skamieniałego lasu Padoxylon arizonicum, pochodzącego z okresu mezozoicznego. Drzewa owe zamieniły się w agat a wysokością sięgają 70 metrów...

Ale to w Ameryce! U nas zaś, jak to zwykle bywa, wiele wody upłynie, zanim wyszczególnione przepisy uzyskają sankcję prawną. Zresztą przyszłe prawo zaopiekuje się tylko mamutami, nosorożcami i innymi „wielkimi kręgowcami“; w dodatku nie wiemy, czy polska nauka osiągnie z niego jakąś korzyść. To też niezależnie od tego powinniśmy pomyśleć o zabezpieczeniu materiału naukowego, jaki nawet po wprowadzeniu wymienionego projektu w życie pozostać na pastwie losu.

Wobec tego, że szczątki kopalne dostają się w ręce ludzi najbardziej zbliżonych do przyrody—włościan, palącą potrzebą jest, ażeby nauczyciele wiejscy wyjaśniali uczącym się dzieciom (a przy okazji i dorosłym włościanom) znaczenie skamieniałości i innych wykopalisk i zaznajamiali ich, jak się mają obchodzić z takimi znaleziskami. Nicją przewodnią tych wyjaśnień winna być idea, że bardzo często skamieniałości są unikatami, których nic nie jest w stanie zastąpić.

W takiej ustnej propagandzie mogłyby wziąć udział i inne osoby z pośród inteligencji wiejskiej—felczerzy, pisarze gminni, rządcy folwarków, właściciele ziemscy i lekarze.

Jeżeli rzucam tę myśl, to jedynie dlatego, że znajdują się chyba u nas tacy, którzy przyjmą niniejszy artykuł do wiadomości i praktyki.

P. T. Kr. zamierza przystąpić do wydawania broszur popularyzujących krajoznawstwo, czy nie należałoby w pierwszym rzędzie zająć się spopularyzowaniem obchodzącej nas kwestyi? Wszak w świecie nauki zarówno jak i praktycznego życia w ostatnich czasach kwestya ochrony przyrody nie schodzi z porządku dziennego. U nas zaś, gdzie niema żadnej egzekutywy, niezbędnej dla takich spraw, czyż nie pozostaje jedynie chwycić się półśrodków, jakimi są artykuły, referaty i odczyty z tendencją ochrony wykopalisk.

Działalność inteligencji prowincjonalnej, choćby i nie będącej miłośnikami geologii, nie powinna się kończyć na takiej propagandzie, osoby te mogłyby zawiadamiać Komisję Fizyograficzną bezpośrednio, lub za pośrednictwem oddziałów prowincjonalnych P. T. K. o miejscach, w których znajdują się omawiane materiały naukowe. Niezmiernie ważne jest baczenie, ażeby przed przyjazdem specjalisty nie ruszono przedmiotów i nie wyjmowano ich z ziemi. To, co się odsyła do muzeów, winno być zaopatrzone w notatkę, na której pisze się nazwisko i adres odkrywcy, miejsca znalezienia, (gubernia, powiat, wieś przy takiej to drodze, w takim to



wąwozie, w kamieniolomie, nad brzegiem rzeki, w glinie, piasku i t. p.)

Zgubiwszy lub zniszczywszy skamieniałość, popełniamy występki względem wolnej, wiecznie dążącej naprzód myśli ludzkiej,

stawiamy jej przeszkody, gdyż niszczymy niekiedy cenny, posiadający ogólnofilozoficzne znaczenie dokument historyczny, jaki niczem już nie da się zastąpić.

Stanisław Lencewicz.



ROHACZE.

Giewont budził się ze snu w białych pasmach mgły, jak w ślubnych welonach, smreki tonęły w opalowym oparze, nikłe, zaledwie widzialne. Powoli wstawało słońce, barwiło blade obłoki blaskiem różanym, rzucało na szczyty purpurową lunę, zapalało dyamenty rosy na sennych gałęziach, nasycalo błękitem kopułę nieba, — słońce, radość poranka.

Droga przed nami wymarzona, daleka.

Ogarnia nas niecierpliwe oczekiwanie, niepokój, dlaczego nie widać Wojciecha¹⁾, wreszcie jedziemy, budząc marszem Chatubińskiego uśpione domki. Przygrywiają nam skrzyptki-gęśliki, wtóruje im Krzyś na basach, a twarz starego Józefa zastyga w zadumie i skupieniu.

Mijamy Kościeliska, żartujemy, że to niby przed nami Wojciecha Tylkowe²⁾ kominy stoją; patrzmy na Tatry Zachodnie, które zjawiają się przed nami dziwnie ciche, łagodne w liniach zielonych przełęcz i kopulastych szczytów. Jedziemy ku Chochołowskiej, gwarzymy po drodze, Wojciech nam opowiada, że w Chochołowie bogaci gazdowie siedzą, a te lasy, co po zboczach doliny nad strumieniem stoją, piękne, stare, smrekowe, to nie pańskie — gazdowskie. Muzyka gra nieustannie, napelnia weselem, uciechą; cieszą się górale na tę wyprawę i my się cieszymy. Pójdziemy tak, jak dawniej chadzano, a gdy nam drogę zastąpi most zepsuty, rzucą się górale, chwycą z ochotą nadbrzeżne kamienie, ciskać nimi poczną, wał w mig rozbiorą, zadziwią nas siłą, zręcznością, powozy podeprą,

przez rwący strumień przeprowadzą. Trochę dalej przy drewnianej altance trzeba zapasy podzielić, torby wypchać i w drogę, bo już późno.

Pośpieszamy, wychodzimy na polanę Chochołowską; hala to duża, rozległa, środkiem prowadzi droga, po obu jej stronach rozłożyły się szałas, które są tu dostatniejsze, lepiej zbudowane. Wogóle całość robi wrażenie jakiejś pierwotnej wioski góralskiej, wóz tam dojedzie, więc z hali zwożą codziennie mleko w dolinę.

Przed szalaszami siedzą na ławach starzy górale; białe psy owczarskie witają nas szczekaniem; podnoszą się głowy i spoglądają ku nam dobroduszne, naiwne oczy, zdziwione widokiem obcych ludzi; ukazują się twarze spokojne, łagodne, zadumane. Pytamy o żętycę — niema, zabrakło.

Rozkładamy ognisko, powoli zbliżają się załężnione juhaski.

Wrócimy do was, jutro wrócimy!

Tak, oni tam jeszcze śnią w Chochołowie na hali; nie budźcie ich, idźcie popatrzeć, jakie to ciche, jakie cudne były dawniej Tatry.

Ku górze wznosimy się perciami, wydeptanymi przez owce i krowy, to wśród lasu, to po trawiastem zbocz; słońce dopieka, domęcza nas, a muzykanci idą, grają z fantazyą.

Wydstajemy się na długą zieloną grań, przechodzimy Rakonia; przed nami Wołowiec, na prawo czarne ściany Rohaczy z wieńcem mgieł u szczytu, znane nam z fotografii Karłowicza, tymczasem jeszcze wydają się zdala jak zjawisko. Tam pójdziemy.

W dole dolina Zuberska, głęboka, lesista, z Rohackimi stawami na zboczach; wśród starych smereków dostrzegamy schronisko.

¹⁾ Wojciech Tylka Suleja.

²⁾ Tylkowe kominy — szczyt pomiędzy Kościeliską i Chochołowską doliną.



Na Wołowcu popas, mgły snują się, wólczą, to przesłaniają dolinę, to otulają szczyty rohackie, to ukazują przez chwilowe otwierające się okna daleki łańcuch gór ze Świnnicą na czele.

Grają grajkowie, mgła osnuwa nas melancholią, aż wyskoczy Wala przed muzykę i huknie:

„Gdybym ja był, jako tata,
A mój tata jako ja,
Mieliby my jedną mamę
Trochę tata, trochę ja“.

i tańczyć zaczyna drobnego.

Na Rakuskiej przełęczy dzielimy się. Wiemy, że lwowski Akademicki klub turystyczny ogłosił tego dnia wycieczkę na Rohacze, trzeba innych uprzedzić, zając nocleg, — niewiadomo, ile osób nadejdzie. Jedni pójdą „dołu“, wezmą zapasy, bo to i bigos mamy i gąsior wina, pójdzie Krzyś z basami, zabiorą dwóch panów ze sobą; tylko Staszek wyniesie w torbie swoje skrzypki, przysiądzie gdzieś tam na grani i wśród przepaści zaświegoce, jak ptak skalny.

Biegnie jeszcze Krzyś po wodę do Jamnickiego stawku, jeszcze Kuba zwiedzie nas brzuchomównym sposobem, że z oddali wołają, i cieszy się, gdy mu odpowiadamy.

Wojciech trochę się waha: późno już, może byłoby lepiej wyjść tylko na Rohacza Przedniego i Ostrego i wrócić tą samą drogą do Zielonej przełęczy — kęs drogi. Ale ja nie chcę ustąpić, nie, nie, może tu już nigdy nie wrócę, może mi kiedyś siły nie dopiszą, może mi zabraknie młodości i nie będę się mogła nosić szczytami. Wojciech ustępuje, ale byłoby dobrze, żebyśmy choć przed zmrokiem do schroniska dobili.

W końcu żegnamy się; chciałabym wołać z radości, że już Rohacze przede mną, nakoniec wspinamy się po skale. Nie dochodząc do szczytu Rohacza Przedniego, znajdujemy w szparze między kamieniami samotną kartkę, w której pan Tadeusz Kornilowicz opisuje swą wędrowkę przez Orawskie Zamki i przez Zachodnie Tatry, a która przeleżała już parę lat. Z poważaniem kładziemy ją na dawne miejsce.

Za chwilę siedzimy na grani w drodze na Rohacza Ostrego; nie wiążemy się, niema czasu zabawiać się liną, jedziemy na ostrym, pochylonym koniku nad przepaściami; ku Żuberskiej dolinie opadają olbrzymie gładkie płyty z czarnego granitu. Ze skupioną uwagą, z obliczeniem każdego chwytu, każdego stąpnięcia zsuwamy się na małą przełęczkę. Jest różnica po-

między swobodną beztróską młodych, którzy te same przejścia przebiegają jakby na ślepo, a pomiędzy naszym świadomym wzrokiem i świadomym poczuciem niebezpieczeństwa.

Schodząc z Rohacza Ostrego, spotykamy jakiegoś węgra, który wdrapuje się z trudem, dźwigając dwa worki; miał tragarza — cygana, i ten uciekł mu z drogi, musi nieść namiot, pod którym chce noc przepędzić.

Od strony Świnnicy kłębią się ciemne chmury, przebiegają błyskawice, huczą grzmoty, nad nami niebo jasne.

Spuściłam się pierwsza kominem, idę wolno naprzód po trawiastym upłazku, czekając na innych, aż nagle błysnie mi w oczy oślepiające światło, po czole przebiegnie suchy trzask i prawie jednocześnie uderzy piorun w pobliżu, a potężny łoskot echem odbija skały. Oglądam się, Staszek pobladł, rzucił ciupagę; cisnęło nim kiedyś od pioruna, a i mnie to już spotyka w Tatrach po raz drugi.

Dalej Wojciech pozwala mi się wychylić i pokazuje wystający ostry kamień, do którego przywiązywano 90 metrową linę podczas wyprawy po ciało Jennego; opowiada mi o poszukiwaniach, — nie było tamtędy wyjścia, mieli oni ¹⁾ do wyboru powrót albo śmierć, bezwiednie wybrali śmierć.

Tymczasem, choć zaczyna nas ogarniać zmęczenie, trzeba znów iść po trawie pod górę. Oj ty, Rohaczu płacziwy!

Chwilę zaledwie możemy spocząć na szczycie, bo nagle z za sąsiednich gór zaczynają wypadać złowróżbne chmury, zjawiają się, zbliżają z niespodziewaną szybkością. Wolelibyśmy zbiegać już ku dolinie — do Zielonej przełęczy daleko; Wojciech wypatruje, ale skała krucha, zwietrzała, można łatwo odpaść; wreszcie zdecydował się, — spuszcza się kominkiem w stromy żleb i zjeżdżamy w pośpiechu na dół wraz z usypującym się piargiem. Za nami na grani ukazują się czarne mgły. Dopadamy trawiastych zboczy. Deszcz zaczyna siec i szybko przechodzi w ulewę, błyskawice przebiegają raz po raz, gromy walą od strony Rakonia i ponad Rohaczami i nad Solatyńskim.

Na maliniakach przeraźliwie ślisko, ale uciekamy jak kto może, biegniemy wśród wysokich, mokrych traw, wydostajemy się na ścieżkę, którą spływają potoki wody, wreszcie dosłownie zmoczeni do nitki dobijamy do schroniska.

Wojciech żartuje, że nas burza nagnała: mieliśmy zająć na 7, a to dopiero wpół do 6-ej.

¹⁾ Jenne i Koziczyński.



Nasi gospodarują w schronisku; schodzili, nie spiesząc się, zaledwie zdążyli naciąć gałązek do żłobów na podściółkę. Schronisko porządne, bądź co bądź jest izba, są dwa małe okienka, drzwi, jest stół, a pod ścianami dwa długie, drewniane tapczany na nogach. Wolelibyśmy, żeby nie było drewnianej podłogi i żelaznego piecyka; spotyka nas pod tym względem zawód: nie można wewnątrz rozpalic ogniska, ogrzać się, osuszyć.

Z Akademickiego klubu przyszło pięć osób; będą nocowały na górze pod dachem, nie mają nawet suchych gałęzi, ziębną zmoczeni.

Najwięcej daje się odczuwać brak gorącej herbaty, ale górale coś tam uradzają i ostatecznie podczas deszczu rozkładają ogień pod osłoną olbrzymiego świerka, gotują herbatę, przysgrzewają bigos.

Deszcz powoli przechodzi, niebo się rozjaśnia. Skoczyli chłopcy, zrabali starego, omszałego suchara, co dawne lata pamięta i ze starości ginie, i przed schroniskiem rozpalili wspinałą wiatrę, tryskającą snopami iskier. Pełza płomień po wiekowych konarach, a oni płonące głównie łamią i precz ciskają.

Wynosimy ławy, obsiadamy ognisko. Wolę nie pisać, kto, co i jak suszył.

Ja wzięłam góralskie ubranie, ubieram się tak, jak nasz przygodny wychowanek, cygan, wkładam suche na mokre. Jestem teraz gaździwą w Zuberskiej dolinie pod Rohaczami.

Posiadali grajkowie w izbie, grają, probujemy oberka — miejsca brak; trzeba się uczyć góralskiego.

Tańczymy ochoczo, a Krzys się wydziwić nie może: „bo żeby pani po Rohaczach tańcować mogła, to jescek taki silny baby nie widział“.

Kto nie wybredza, nawykł do niewygód, wyciąga się na gałęziach i śpi dobrze. Na jednym żłobie mogą się wygodnie pomieścić dwie osoby, młodzi śpią we trójkę.

Przewodnicy siedzą przy ogniu w towarzystwie tych, co wolą noc przegawędzić.

Budzimy się o szarym świcie. Zanim pójdziemy, chcę jeszcze podumać, posłuchać, co strumień gwarzy, popatrzeć na smukłe, wysokopienne smreki, na wyniosłe turnie Rohaczy, które się zaczną różowić, płonąc rumieńcem jutrzni, wyłatać słońcem; będą mi się zjawiały w chmurne dni zimowe, jak widzenie prześnionej bajki.

Nie spieszymy się, powoli wychodzimy nad dolinę Łataną, okrążamy ją z boczem, nie zniżając się, i wracamy znów długą zieloną granią nad Chochołowską halę. Naokół leżą długie,

lesiste doliny, widać tam szałas i pastwiska, zdala w słońcu złocą się pola na równinach. Na tle nieba ukazują się smukła sylwetka juhasa, który przystaje, patrzy ku nam ze szczytu w tęsknej zadumie i otoczony owcami oddala się, znika.

Płyną godziny ciszy, radosne chwile szczęścia i zachwytu. Nie wiadomo, czy to Józefa skrzypki grają, a Krzysowe basy wtórują, czy to się ziemia rozśpiewała, czy góry, czy dusza moja.

Pobudka — marsz Chałubińskiego.

Patrzymy z góry na drogę, która się ukazuje z lasu na skraju polany; dzieci tędy przyjdą naprzeciw, Kuba przywiezie antalek piwa; schodzimy, wypatrujemy. Dzieci biegną, dzieci, i mały cygan Jontek z niemi, skaczą koło ogniska, roznoszą zimne, wyborne piwo.

Przychodzą juhasi i Rózia juhaska, przysiadają opodal, ale nie chcą jeść, co im zakopanie za nieobyczajność mają; przynieśli harmonię, przysłuchują się muzyce, ale trzymają się nieufnie, widać, że nie lubią zakopian. Rózia śmiała i wesółta tańczy ze Staszkiem, który przystaje przed muzyką, przyspiewuje, a piosenki mu się sypią jak z rękawa. Bardzo jej się Staszek podoba, tańczy ładnie, umie dziewczęta bałamucić, a Rózia na hali rosła, wierzy mu, że do niej wróci, ucaluje go na pożegnanie, nie kryjąc żalu, że się z nim rozstać musi.

Każdy tańczy inaczej, każdy jest sobą. Inaczej tańczy Staszek, zawadyacko, wesóło, żwawo, inaczej Józef po staroświecku, po dawnemu z powagą, z godnością, jak na rodowego gazdę przystało: ale kiedy Wojciech zatańczy, nikt mu nie dorówna, tak się pięknie nosi, spokojnie, a zręcznie, wygląda jak z brązu wykuty. Chcieliby juhasi pokazać, że i oni umieją, przygrywają na harmonii swoje melodie, wiele szybsze, dzikie. Krzys siada do skrzypiec, musi smyczkiem wydażyć, muszą zakopanie pokazać, że oni i tak grać potrafią. Cudny, jak rzeźba grecka, błąd, młodzieńki bacz zaduma się, zapatrzy wdał, porusza się lekko, szybko, jakby gdzieś na wirchu nad przepaściami tańczył. Bacowie bywają zwykle sędziwi, dumne więc są juhaski, dumni juhasi ze swego młodego, pięknego bacy.

Dzieci idą z Rózią do szałasu po mleko, dziwią się, że Rózia z krowami mieszka.

Słońce zniża się ku zachodowi, czas wracać. Żegnamy Chochołowską cichą polaną, zostaniecie z Bogiem. Wszyscy uradzają, że ja pojedę na przedzie z muzyką „parowym“¹⁾ po-

¹⁾ Parokonnym.



WIDOK Z DOL. STAROLEŚNEJ NA ŁODOWY, DURNY, ŁOMNICĘ I POSREDNIĄ GRAN. fot. J. Jaroszyński

wozem; pomyślą ludzie, może zrzękowiny jada, a może młodą z Witowa wiozą.

Od Kościelisk spotykamy powozy, powoziki; jedni się dziwią, inni się gorszą, wstępu-

spal na żywicznym, smrekowym posłaniu, nie słyszał piorunowych akordów i świągotania gęśli wysoko na zielonych przełęczach — nic nie zrozumie.

Emilia Herse.

oooooooooooo

ZBIORY POLSKIE.

9)

Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem.

A oto z wielu innych jeszcze jeden przykład.

Pracującym na polu krajoznawstwa aż nadto wiadomo, jak jest niedostateczny materiał, bądź ze względów cenzuralnych bądź innych, mieszczący się w „Słowniku Geograficznym“, jak niemniej, ile to czasu zabiera i z jakimi trudnościami połączone jest wyszukanie opisu jakiegoś lub widoku wśród morza czasopism. Ale p. Jeżewski, żadnej się trudności nigdy nie lęka i żadnej nie omija, mając na przełamanie jej sposób jeśli nie w wytrwałości, konsekwencji, to w niezłej zaopatrzonej worku, a gdy jedno lub drugie przeszkód nie druzgocze, wali od razu potrójnym taranem. Nieinaczej też postąpił sobie i w tym właśnie razie. Przyszedłszy do przekonania, że czasopisma znakomicie uzupełnić mo-





GABINET AKWAREL WE DWORZE GLEMOCKIM.

gą wszelkie słowniki geograficzne, albumy widoków, encyklopedye staropolskie etc., jakżeż sobie radzi? A oto, po swojemu, bez półśrodków, w ten mianowicie sposób. Zaczawszy od rzeczy podstawowej, jaką jest bibliografia, po sporządzeniu z niej wykazu poważniejszych czasopism, jakiegokolwiek i gdziekolwiek u nas wychodziły, nabywa odrazu, ze względu przypuszczalnego zachodzenia na siebie potrzebnych mu rycin lub artykułów, podwójne komplety wszystkich, nie wyłączając i takich, które jak np. „Tygodnik Ilustrowany“ od lat 50 wychodzą. Dla ziemianina, przywykłego do widoku olbrzymich stert pszenicy, stosunkowo niewielkie sterty bibuły, to frachy! — niezdolne przerazić. Więc bez wahania do roboty! — bez żadnej mitręgi. I oto, z planem, z kontrolą a przy niewielkiej pomocy, codzień spycha się tom, a na rok już conajmniej trzysta, i owe sterty bibulaste wciąż jako śnieg wiosenny nikną a z wycinków natomiast tworzą się pliki poloniki, z której z biegiem lat powstają idealne w alfabetycznym porządku ułożone krajoznawcze słowniki ilustrowane, podobne encyklopedye etnograficzne i archeologiczne, jak niemniej polskiej sztuki stosowanej, tudzież niezmiernie ciekawe albumy typów polskich i narodów pobratymczych, zamieszkujących dawniej Polski zie-

mie. Oto i cały sekret, czemu zbiory p. Jeżewskiego nie z roku na rok, ale jak w tej bajce „godzinami i minutami“ wciąż rosną i rosną. I rzeczywiście, zbiór ten jest najlepszym dowodem, czego może dokonać dobra wola i szczerze usiłowanie jednego człowieka, a wartość jego ocenić może chyba biegły specjalista, co się w nim zagłębi.

Z przykładów powyższych sędzę, że czytelnik sam już sobie wyrobi dokładne pojęcie o sposobie gromadzenia wielu a wielu jeszcze innych artystycznych skarbów, miast zaś podawać szeroki a daleko sięgający zakres przedsięwzięć i zamiarów p. Jeżewskiego, najtrafniej chyba będzie, gdy rzecz tę zamknę jego własnymi, z listu skreślonego do mnie wyjętymi słowy:... „Nie na to — pisze — tak mozolnie i tak intensywnie gromadzę, aby zbiór po śmierci mej miał się z kretesem rozsypać; przeciwnie, zbieram na to, aby istniał trwale, aby służył krajowi i niósł spółrodakom pożytek“. Tak wysoce szlachetna a jasno wyrażona intencja sama mówi za siebie, więc i nie szpecąc jej banalnemi wyrazami uznania, wolę zaznaczyć szerszy ogół z szlachetnem obliczem tak wybitnego miłośnika czystej sztuki ojczystej.

Tandem podam najprzód krótkie, a z niemłym trudem zdobyte szczegóły biograficzne,



a dopiero po nich rzucające się w oczy cechy jego serca, duszy i umysłu.

Przyszły mecenas sztuki życie wziął z ojca, ś. p. Anastazego Witke-Jeżewskiego i matki Ksawery z Cissowskich. Wydała go na świat dzielnica, której ozdobą są Raczyńscy, Mielżyńscy, Działyńscy, Marcinkowscy i tylu innych zasłużonych mężów, na Kujawach bowiem, w ziemi wielkopolskiej światło w r. 1862 ujrzał w Głębokiem, nieopodal Kruszwicy. O rodzinie pomorskiej Witków najstarsze wspominają kroniki; jeden z nich przed 500 laty otrzymał w drodze działów gniazdo Głębockich — Głębokie i właśnie z linii tego protoplasty pochodzi pan Dominik. Oprócz Głębokiego, które w żyznej leży ziemi o dwie niespełna wiorsty od Gopła, do Jeżewskich należy również w dawnym woj. plockiem, (obecnie w pow. rypińskim), w malowniczej wśród lasów okolicy położone Skrwilno, nad wielkim tejże nazwy jeziorem, z obszernym pałacem, rozległym parkiem i starannie prowadzonym ogrodem. Skrwilno pociąga serce całej rodziny Jeżewskich tak, jak nieprzymierzając odwieczny Rzym serca wszystkich wiernych, w tem uroczem bowiem, a przez swe usypiska niezwykle dla archeologa ciekawem Skrwilnie, rezyduje sędziwa, a po nad wszystko przez naszego mecenasa umiłowana matka, pani mimo sędziwego wieku niezwykle rzeźka, a niezliczonymi przymiotami duszy i serca uosabiająca tak rzadki już dzisiaj u nas typ staropolskiej matrony.

Już od najmłodszych lat sztuka przyszłego miłośnika grafiki mocno pociągała, poczucie piękna było w nim wrodzone, a zamiłowanie do kolekcjonowania znacznie w nim podsycały często widywane zbiory przyjaciela rodziny Alfreda hr. Sierakowskiego oraz wujaszka, zasłużonego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, hr. Engeströma. Uczęszczając do gimnazjum w Dreźnie, młodzieniaszek tak często zaglądał do słynnej galerii królewskiej, że w końcu katalog był dlań całkiem zbyteczny; przytem, o ile skromne fundusze pozwalały, nabywał już wtedy książki i ryciny.

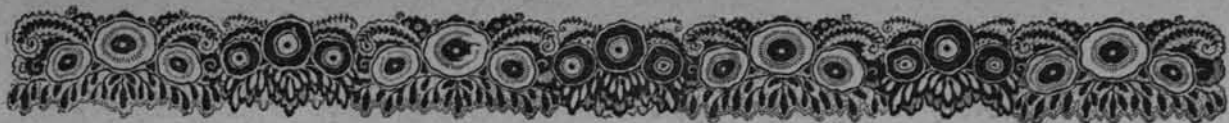
Nie mam pojęcia, jak się już tam potem, w Dublinach, kojarzyła sztuka z agronomią, ale wiem i to dobrze, że świat artystyczny grodu podwawelskiego raz wraz naszego dublańczyka ku sobie pociągał. Że jednak, dzięki zapewne wrodzonej praktyczności, jakoś się tam jedno z drugim szczęśliwie godziło, dowodzi już w późniejszym czasie jednoczesny rozkwit starannie a postępowo obok cukrowni

prowadzonego gospodarstwa w Głębokiem, wraz z szybko wzrastającym zbiorem. Dziedzie Głębokiego, o czem już nadmieniałem wyżej, postanawia przed laty piętnastu w sztukę stanowczo i niepodzielnie przelać życie swoje całe. U wielu, nad wyraz bolesne zawody, na takie i tym podobne postanowienia bezpośrednio wpływają, tutaj, przez wrodzoną delikatność przyczyn nie badając, powiem, że posłubiwszy tę ideę, z wielką energią i impetem od tej chwili wciąż idzie własną swoją drogą. Sztuka i tylko jedna sztuka ożywia go, rozkoszuje, upaja i staje się tem dla duszy, czem jest chleb dla ciała.

Cokolwiek tam sobie ludzie mówią o namiętnościach wszelkiego rodzaju, ja przyznam się otwarcie, lubię je obserwować z wielką przyjemnością. Tchnę sympatyą dla ludzi z temperamentem, lubię entuzjastów i tych wszystkich, co im na widok dzieła sztuki oczy błyszczą, twarz drga i ręce dygoczą. Lubię ich, bo tylko u ludzi dobrych a otwartych można zauważyć podobne objawy. Właśnie, jedną z takich natur szlachetnych, nie umiejących się maskować, jest nasz p. Jeżewski i to do tego stopnia, że wobec nawet chciwego a bystro mu patrzącego w oczy antykwarjusza, byle tylko coś spostrzegł prawdziwie „rarytnego“, nie mogąc się powstrzymać, wykrzykuje „śliczne!“ Poza tem, jest to dusza zacna, zrównoważona i nieskazitelna. Gorąca miłość kraju i rzeczy ojczystych stanowi wybitną cechę p. Jeżewskiego. Zawsze daleki od frazesów, skromny, niedocenający swej działalności, cicho, ale wytrwale kroczy wciąż w obranym kierunku. Serce ma nie tylko dobre ale nader czułe, uczynność jest zasadniczą cechą jego charakteru. I obok tego wszystkiego, przy wrodzonej mu uprzejmości, jest we wszystkich stosunkach stały, słowny, ścisły, a poczucia obowiązku ma tyle, że pozazdrościć mu można. Słowem, jest to człowiek wysokiej kultury, bardzo wrażliwy, silny w dążeniu, stały w ukochaniu.

*

Zbiory głębokie tyle utworów zawierają rzadkich i prawdziwie pięknych, że przy każdym chciałoby się dłużej zatrzymać, aby oczy napaść. Lecz w tak szczegółowy sposób niepodobna się nam rozpatrywać, gdyż format zamierzonej książeczki łacnoby nam rozrość się



mógł do grubego tomu¹⁾. Nie pozostaje tedy nic innego, jak żywić nadzieję, że na katalog, który wszystko zawrze, nie będziemy czekać

¹⁾ Rzecz ta wkrótce się ukaże.

długo, opis niniejszy zredukować do takich rozmiarów, aby z podawanych cyfr i rzeczy z każdego działu najbardziej interesujących czytelnik mógł już sobie o całości wyrobić chociaż przybliżone pojęcie.

D. N.

M. Federowski.



Przez Węgry na Bukowinę.²⁾

Od Trebusy począwszy, charakterystyczny ubiór huculów zatracą się; widoczny jest wpływ rumunów i madyarów. Kapelusze, kształtem zbliżone do typowo węgierskich, wyszycia i ornament na „kieptarach“ (krótkie kożuszki bez rękawów) odmienny od spotykanego przeważnie na Huculszczyźnie, spodnie i wyloty rękawów u koszul niezmiernie szerokie. Kobiety nie noszą tu już zapasek, lecz spódnice; u dziewcząt widzimy oryginalną ozdobę głowy, rodzaj przepaski z włóczki noszonej na czole. Miejsce chodaków zajmują tu już niemal powszechnie buty z wysokimi marszczonymi cholewkami.

Po kilku kilometrach dalszej jazdy docieramy do punktu, w którym wpada do Cisy znaczny jej dopływ Wyszów. Tuż obok ujścia i mostu na Cisie stacya kolejowa „Vissóvölgy“.

Stąd mieliśmy jechać dalej doliną Wyszowa. Na razie postanowiliśmy jednak odstąpić od wytkniętego planu, aby poznać stolicę komitatu marmaroskiego Sygiét, jedziemy zatem dalej doliną Cisy, której potężne już teraz fale niosą liczne spławy, co z głębi gór Wyszowem nadpłynęły. Droga na dłuższej przestrzeni pnie się stale w górę. Okolica żywo przypomina tę, jaką w górnym biegu Czarnej Cisy widzieliśmy. Znowu rzeka, kolej i gościniec szukają miejsca dla siebie w ciasnym, niekiedy skałami malowniczo zjeżonym wąwozie.

Po drodze zwiedzany w Erdészvölgy położony w pobliżu gościńca pałacyk myśliwski ongi arcyksięcia Rudolfa. Jest to właściwie kilka osobno stojących pawilonów wśród niewielkiego starannie utrzymanego parku, który bezpośrednio łączy się z przyległymi, obszernymi

prześcieniami leśnymi. Lasy okoliczne stanowią wspaniałe rewiry polowań, zwłaszcza na grubszego zwierza, na jelenie i niedźwiedzie. Nadto znajduje się tu żbik i ryś, z ptactwa zaś mają w tych niedostępnych ostępach swe siedziby głuszc i cietrzew. Pałacyk i przyległe pawilony należą dziś do kamery węgierskiej a ożywiają się zwykle tylko na kilka tygodni w jesieni, gdy arystokracja węgierska a często i członkowie domu panującego przybywają tu na łowy.

W dalszej drodze widzimy na prawo stożkowaty lesisty szczyt „Tempa“ (1091 m.), którego podnóża, spadając ku dolinie rzeki, zwieszają się miejscami w fantastycznych załomach skalnych nad gościńcem.

Zwolna kotlina Cisy rozszerza się, góry się rozstępują i stają coraz niższe: jesteśmy w dolinie marmaroskiej. Nad rzeką, tu już szeroko się rozlewającą, spotykamy liczne przystanie i składy drzewa budowlanego i opałowego. Zdała majaczeją i dymią kominy fabryczne, wjeżdżamy w centrum fabryczne i przemysłowe komitatu marmaroskiego.

Komitatu marmaroski (Maramaros Varmegye) zajmuje północno-wschodnią część Węgier, granicząc z Galicyą, Bukowiną i Siedmiogrodem. Dzieli się na dziesięć powiatów a obejmuje obszar 9720 kwadratowych kilometrów z ludnością 309,598 mieszkańców liczącą. Ze wszystkich komitatów jest on najbardziej ruski. Urzędowa statystyka węgierska podaje liczbę rusinów na 145,379, czyli 46,4%, ponadto mieszkają tu rumuni (74,978), niemcy (47,449), węgry (42,405) — na wszystkie inne narodowości



wypada razem 1389 osób. Liczba żydów, wliczonych bądź do narodowości niemieckiej, bądź węgierskiej, wynosi 56,006.

Bezwzględnie i absolutnie panującym jest język węgierski, tak w szkole jak w urzędzie, w sądzie, na kolei czy w gminie. Wszelkie ogłoszenia, tablice orientacyjne i t. p. są tylko w tym języku publikowane. Wśród tych stosunków nic dziwnego, że madyaryzacja, zwłaszcza wśród ludności ruskiej, postępuje nader szybko. Ciekawych bliższych szczegółów co do położenia narodowego, politycznego i ekonomicznego tamtejszych rusinów, odsyłam do cennej rozprawy p. Edmunda Kołodziejczyka p. t. „Ruś węgierska” (drukowanej w ubiegłym roczniku „Świata słowiańskiego”).

Cały obszar komitetu, z wyjątkiem niewielkiej zresztą doliny Cisy w pobliżu Sygietu, zajmują góry, osiągające w granicznej Howerli najwyższe swe wzniesienie (2058 m.). Granicę od Galicyi stanowi pasmo Czarnohorskie, na pograniczu Siedmiogrodu legły Alpy rodniańskie.

Góry pokryte są w niższej części wspinałymi, częściowo pierwotnymi jeszcze borami, w górnej przeważnie bujnymi połoninami. To też główne zatrudnienie miejscowej ludności stanowi praca w lesie przy ścinaniu i spławianiu drzewa i chów bydła. Okolica tutejsza obfituje także w plody kopalne a przedewszystkiem w sól kamienną, wydobywaną w Akna Szlatina, Rónaszek i Sugatag. Kopalnie te połączone są kolejami lokalnymi z Sygietem, gdzie znajdują się wielkie młyny solne i składy soli. Liczne również są w tej okolicy źródła mineralne, słone, siarczane, a przedewszystkiem szczawy żelaziste.

Stolica komitetu—„Maramaros-Sziget” (Sziget znaczy dosłownie „wyspa”), po rusku Syhot zwany, leży w dość rozległej dolinie, malowniczo od wschodu i północy wieńcem gór otoczonej, u ujścia Izy do Cisy. Liczy około 17,000 mieszkańców, robi jednak wrażenie miasta o wiele większego a będącego w stałym rozwoju. Nowe ulice, szerokie, symetrycznie wytknięte i wysadzone drzewami przedstawiają się korzystnie.

Z budowli niema tu nic godnego wzmianki. Kościół ewangelicki w stylu gotyckim i budynek rządowy na placu Elżbiety w stylu jakiejś niesmacznej secesyi w kolorach białym i zielonym, zwracają uwagę.

W mieście ruch ożywiony, świąteczny. Od szarego tłumu barwnie odbijają stroje huculów, pięknie wyszywane koszule rumunek i oryginalne ubiory madyarskie chłopów gdzieś od Satma-

ru. Korzystając z przepięknej pogody mieszkańcy tłumnie dążą za miasto, przeważnie do miejscowości kąpielowej Szlatiny. Dopiero wieczorem miasto się ożywiło. Pełno było w miejscowym teatrzyku, ze wszystkich restauracyi, kawiarni i szynków dolatywały dźwięki muzyki, a głośnie śpiewy rozbawionych obywateli miasta dopiero nad ranem przycichły.

Nazajutrz zwiedziliśmy odległe o 5 kilometrów od Sygietu kopalnię soli i zakład kąpielowy w Akna Szlatina, poczem nie zatrzymując się już w mieście, ruszyliśmy w dalszą drogę. W dniu tym mieliśmy znaczną przestrzeń przed sobą, chcąc wedle ułożonego planu stanąć na noc w Górnym Wyszowie (Felső Vissó)— i to drogą prowadzącą w górę biegu rzek, a więc na ogół pod górę.

Silny ruch kołowy w pobliżu Sygietu dawał się nam nieprzyjemnie odczuwać, wzniesając na wyjeżdżonym gościńcu ogromne tumany kurzu. Dolina marmaroska, którą droga prowadzi, nie przedstawia nic szczególniejszego. Na prawo i lewo rozciągają się niezmiernie łany kukurydzy i starannie utrzymane sady, przeważnie śliwkowe. Na widnokręgu ku północy i wschodowi majaczeją góry. Jadąc znaną już, bo wczoraj przebytą drogą, mijamy miejscowość Karáisonfalva, Nagy, Bocsko i Kis Lonka. Otwarta i rozległa dolina zacieśnia się, lesiste wzgórza coraz bardziej zbliżają się ku nam, okolica zyskuje na malowniczości.

Niestety stale niemal wznosząca się droga i ogromny upał dają się nam mocno we znaki. Krótka kąpiel w Cisie znakomicie nas orzeźwia i raźniej już jedziemy dalej, by wreszcie po pięknym spadzie przybyć do ujścia Wyszowa do Cisy. Tuż obok mostu na Cisie znajduje się ważna dla turystów stacya kolejowa „Vissóvölgy” (dosłownie „dolina Wyszowa”), a nieopodal widzimy most kolejowy na Wyszowie.

Wypoczywamy chwilę, a posiliwszy się jedziemy dalej, odtąd już w dolinie Wyszowa. Droga zrazu wznosi się dość znacznie a następnie wchodzi do wąskiego, bardzo dzikiego wąwozu, jakim Wyszów przediera się przez pasmo gór, dążąc do Cisy. Miejsce dla gościńca trzeba było wykuć w skalistym, gęstym lasem pokrytem zboczem. W miejscu, gdzie wąwóz otwiera się, tworząc nieco obszerniejszą kotlinę, zwraca naszą uwagę stojący tuż przy drodze skromny obelisk z białego marmuru. Jak się dowiadujemy, postawiono go ku pamięci na tem właśnie miejscu zamordowanych przez opryszków wołoskich w dniu 22 grudnia 1906 roku, pocztyliona i eskortujących pocztę żandarmów.



Dojeżdżamy do Bystrej (Bisztra), ostatniej wsi ruskiej nad Wyszowem, którego dolina coraz bardziej się rozszerza. Góry cofnęły się od rzeki, niższe są i mało zalesione, gościniec prosty jak linia ginie w perspektywie, a na widnokręgu długo widzimy wysoką wieżę cerkiewną w Pełzowej, zanim przebywszy kilkanaście kilometrów pozostawiamy ją wreszcie za sobą.

Jeśteśmy już wśród żywiołu czysto rumuńskiego, a nieznamość języka daje się nam trochę odczuwać. Usiłujemy posługiwać się francuskimi i łacińskimi wyrazami, wywołując tem wśród dobrodusznych górali niemalą wesołość.

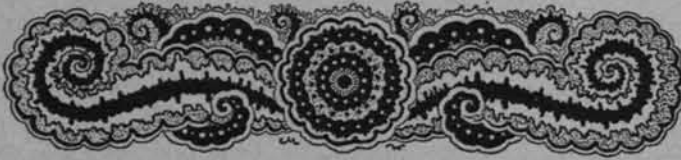
Słońce chyliło się ku zachodowi, gdyśmy dotarli do Leordyny, gdzie Wyszów przyjmuje większy dopływ Ruskową rzekę. W jej doli-

nie wiedzie droga na Ruskową i Krywe (po węgiersku dawniej Ruszkirva, obecnie Oroszko) do Ruskiej Polany (dawniej Ruszpolyana, obecnie Havasmezö¹⁾), gdzie znów spotyka się ludność ruską huculów. Ruska Polana jest najdogodniejszym punktem oparcia na wycieczkach w pobliżu jej nader malownicze szczyty Karpat marmaroskich: Farcaul 1961 m. i Mihailecul 1920 m.

D. C. N.

W. Fiszer.

¹⁾ Rząd węgierski zmienia obecnie w celach madyaryzacji i tak już zmadyaryzowane nazwy słowiańskie miejscowości na czysto madyarskie. Utrudnia to niesłychanie orientację, gdyż jedna i ta sama miejscowość trafia się na mapach pod trzema różnymi nazwami.



ZE SKARBÓW NASZEJ PRZYRODY.

Kokornak powojowaty (*Aristolochia Clematidis* L.)

Kokornakowate—Aristolochiaceae, rodzina roślin dwuliściennych, obejmująca około 200 gatunków, z których większość stanowią rośliny zielne i krzewiaste, zamieszkujące okolice podzwrotnikowe Ameryki, Afryki i Azji. Całą rodzinę cechuje silny aromat, niekiedy właściwy różnym częściom rośliny.

Wielu przedstawicieli tej rodziny ze względu na wdzięk kwiatów i piękność liści, znalazły zastosowanie w ogrodnictwie dekoracyjnym przy wysadzeniu altan, ścian i płotów. Do takich należy kokornak wielkokwiatowy (*A. Siphon L'Hérit*), z Północnej Ameryki pochodzący z olbrzymimi, sercowatymi, u podstawy głęboko wrębnymi liśćmi i z wyniosłym zlekka wijącym się pędem, o kwiatkach zewnątrz zielonawych, a wewnątrz brudno-purpurowych, szczególnej postaci, bo zbliżone do pękających zgiętych fajek.

Inne są znów cenione dla mającej szerokie zastosowanie użyteczności lekarskiej.

Kokornak wężownicowy (*A. serpentaria* L.), rosnący w Wirginii i Karolinie używany jest jako środek pobudzający. Korzeń jego (*Radix serpentaria*) jest używany przez tamtejszych

mieszkańców przeciw ukąszeniom żmij i węzów jadowitych.

W Nowej Gwinei bytuje *A. cordiflora* wyróżniająca się olbrzymimi kwiatami w kształcie hełmu, używają też mieszkańcy zupełnie rozkwitłych kwiatów do okrycia głowy, zamiast czapek i kapeluszy.

Z wielu pięknymi przedstawicielami tej rodziny możemy się zaznajomić w oranżeryach.

U nas, jak i w całej Europie środkowej i południowej, w dzikim stanie charakteryzuje tę rodzinę kopytnik (*Asarum europeum* L.) i smolnik albo kokornak powojowaty (*Aristolochia Clematidis* L.) Pierwszy jest pospolity w lasach i zaroślach, w wąwozach, rowach i w miejscach nie wystawionych na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, a mających pod dostatkiem wilgoci.

Kokornak należy u nas do osobliwości, dotąd był cytowany przez „Prodromus” Rostańskiego tylko dla Ciecchocinka¹⁾.

¹⁾ Znaleźć go można koło Bielan pod Warszawą. (*Przyp. Red.*)



A. Clematitis jest rośliną trwałą, o łodydze wyniosłej, cienkiej, zlekka żeberkowanej, gołej, wewnątrz pustej, sięgającej od 30 cm. do $1\frac{3}{4}$ mt. wysokości. Chętnie przebywa pod płotami, obok dróg, pni drzewnych i krzewów, aby tem łatwiej otrzymać pomoc w pięciu się ku górze. Liście z długimi ogonkami, naprzemian-naprzeciwległe, duże, sercowate o obszer-nych wycięciach u podstawy. Kwiatów kilka, osadzonych w kątach liści. Okwiat jasno żółty, opadający, rurkowaty, w górze rozszerzony w kształcie jednostronnej wyciągniętej wargi, u nasady rurki ma kuliste wzdęcie. Pręcików 6, beznitkowych, zrosniętych ze słupkiem, a tak rozdławiających się, że możnaby ich naliczyć 12. Słupek promienisty, 6-cio dzielny; zawiązek dolny, owoc duży, gruszkowaty, zwieszony; jest to torebka wielonasienna, pękająca szczelinami wzdłuż przegródek; nasiona bielkowe, z małym zarodkiem, spłaszczone, ułożone w rulony. A. Clematitis jest rośliną owadopylną i wykazuje wiele ciekawych szczegółów przy zapyłaniu.

W kwiatach dojrzewają nasamprzód słupki, a później pręciki. Są to kwiaty tak zwane przedślupne (proterogynia). Kwiaty, gotowe do przyjęcia pyłku, są wyciągnięte ku górze. Rurka kwiatowa jest wewnątrz wysłana włoskami, które ostrymi końcami są zwrócone do środka w okrągławy przedział i nie stawiają oporu w przedostawaniu się do wnętrza drobnym owadom, przenikającym tam po nektar. Końce najeżonych włosków kłują, jak szpilkami i zasłaniają odwrót. Owad zaniepokojony więzieniem biega we wszystkich kierunkach, zapyłając znamioną pyłkiem, który na sobie przyniósł, i nabiera na siebie świeżego, który dojrzał i wysypał się w kwiecie, w którym przebywa. Okwiat, spełniwszy swoje zadanie, więdnie, schyla się ku dołowi, włoski składa poziomo. Wyjście staje się wolne.

Cała roślina jest przepelniona balsamiczną wonią. Korzeń dawniej miał zastosowanie lecznicze, w większych dozach działa narkotycznie.

Ciechocińskie stanowisko istnieje i dotąd. Odszukałem je jesienią r. 1911. Znajduje się ono na pastwisku Powiśla w Słońsku. (Od głównej alei kasztanowej za parkiem na prawo w kierunku do Nieszawy). Jest to duża odludna kępa wśród nieużytków.

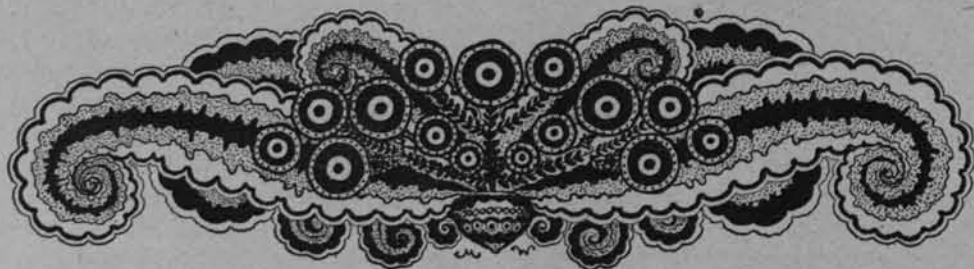
W końcu lata i w jesieni można zauważyć wiele ciężkich owoców, zwisłych ku ziemi, jako też i wiele kwiatów spóźnionych, zakwitłych na pędach odmłodzonych przez uszkodzenia.

Oprócz tego, wymieniam stanowisko dla Włocławka i Sandomierza, jeszcze nie notowane. Pierwsze z nich jest oddalone od Włocławka o 5 klm. i znajduje się pod Łęgiem. Odszukać to miejsce łatwo, kierując się brzegiem Wisły albo ul. Łęską. (W ostatnim wypadku pod Łęgiem należy zboczyć ku Wiśle). Kokornak występuje tutaj na granicy łąk i nie wyniesionych pól. Środkiem łączki przepływa sączący się strumyk i wpada tuż do Wisły. Za strumykiem w tarninie jest druga wybudala kępa kokornaku, której pojedyncze egzemplarze sięgają do $1\frac{3}{4}$ mt. wysok., okrywają się bujnie kwiatami i wyglądają imponująco. Pierwsze zbiorowisko, choć większe, jest co roku przyrywane, pielone i na skutek tego musi się bardzo wysilać, aby zastąpić zniszczone pędy nowymi. Bardzo też rzadko kwitnie. Sandomierskie stanowisko znajduje się obok drogi do Klimontowa za wąwozem św. Pawła. Między przydrożnymi drzewami rośnie go dużo, znacznie jednak więcej przy płocie chróścianym z drugiej strony łąki. Jest to najpiękniejsze stanowisko, jeżeli chodzi o wysokość pojedynczych pędów. Wysokość ich waha się od 1—do $1\frac{3}{4}$ mt.

Aristolochia kwitnie od maja do późnej jesieni. Spotkać go można w południowej i środkowej Europie do Szwecyi, Anglii, Uralu i Azji Mniejszej.

M. Hempel notuje go dla Słupi Nadbrzeżnej na Litwie. (Pamiętnik fizjogr. Tom V, str. 139).

R. Kobendza.





Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Sekcja wycieczkowa Oddziału w Zagłębiu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy letnich urządziła 8 wycieczek, a mianowicie:

I i II. Dwie do Olsztyna w dn. 26 maja i 3 czerwca. Pierwsza z nich zorganizowana została celem obejrzenia zabytków historycznych tej miejscowości, a więc zamku i kościoła i liczyła 10 osób, druga specjalnie dla zbadania nowoodnalezionnej groty. Dla braku jednak gwarantujących bezpieczeństwo urzędzeń nie udało się jej bliżej zbadać i zamiar odłożono do innego czasu. Prowadził p. Pietraszewski.

III. W dniu 16 czerwca na Klimczuk i do Bielska, osób 37, prowadził p. Drzewiecki.

IV. W dniu 29 i 30 do Ojcowa w 33 osoby dwie wycieczki: jedna końmi, druga pieszo od Olkusza. Prowadzili pp. Dziekanowski i Pietraszewski. Zwiedzono: doliny Prądnika, Korytanię i Wierzchowską, groty: Ciemną, Łokietkowską i Wierzchowską, Chelmową górę, Bramę Krakowską, wąwóz Ciasnych Skałek, Grodzisko i Pieskową Skalę.

V. Dn. 7 lipca do Pilicy, Smolenia i Ogrodzieńca w osób 12. Prowadził p. Pietraszewski. Zwiedzono zamek w Ogrodzieńcu i Smoleniu, stare domy w Pilicy, groty: Jasną i Zegarową w Smoleniu.

VI. 28 lipca do Sławkowa i Okradzionowa. Prowadził p. Janiszowski, osób 7. Zwiedzono: stare domy w Sławkowie, Nowe Miasto, a mianowicie miejsce, gdzie zginął Petro Nullo, pustynię Błędoską, stare huty żelazne i kolonie letnie w Okradzionowie.

VII. 18—21 lipca i 15—18 sierpnia dwie cztero-dniowe wycieczki do Zakopanego i w Tatry wysokie. Prowadził p. Pietraszewski, w Tatrach prowadził p. Szenk, prezes Akademickiego Lwowskiego klubu turystycznego. Pierwsza z nich, w której uczestniczyli sami mężczyźni, zwiedziła: Wodogrzmoty Mickiewicza, Dolinę Białej Wody i przez Świstową przełęcz oraz Polski Grzebień przybyła w dniu pierwszym na noc do Śląskiego schroniska w Wielkiej Dolinie; drugiego dnia na Garluch i z powrotem do tegoż schroniska na noc. Trzeciego dnia przez Smokowiec do Szczyrbskiego jeziora, na Krywań i do Koprowej doliny na noc. Czwartego dnia przez Zawory i Liliowe do Zakopanego. Osób 14.

VIII. Druga wycieczka osób 9 (w tem 4 kobiety). Zwiedziła: I dn. Dolinę Kościeliską. II dnia Wodogrzmoty Mickiewicza, Morskie Oko, Zmarzły Staw pod Rysami i przez Świstówkę do Pięciu Stawów Polskich, skąd trzeciego dnia przez Kozi Wierch i obok Zmarzłego Stawu pod Zawratem oraz Czarnego Stawu Gąsienicowego przez Halę Gąsienicową i Dolinę Jaworzynki do Zakopanego. Czwartego dnia zwiedzono dolinę Strążyńską.

W roku bieżącym projektowane są jeszcze na-

stępujące wycieczki: 15/IX do Ojcowa (trzydniowa). 22/IX do Żywca na wystawę. 25 i 26/IX do Krakowa. 29/IX do Złotego Potoku. 6/X do Modrzejowa, Mysłowic i na trójkąt państw. 13/X do Wisły. 20/X do Oświęcimia. 3 i 4/XI do Wrocławia. 17/XI do Chrzanowa i ruin w Lipowcu. 1/XII do Bielska i Cygańskiego lasku. 15/XII do Pieskowej Skały i Ojcowa. 24, 25, 26 do Zakopanego.



Nowe książki.

Manteuffel Gustaw. O starodawnej szlachcie krzyżacko-rycerskiej na kresach inflanckich (z ilustracjami w tekście), str. 66. Lwów, 1912. Główny skład w księgarni Gubrynowicza i syna.

Szlachta pochodzenia krzyżackiego, osiadła w Inflantach polskich, jest zjawiskiem niesłychanie oryginalnym. Ongi w czasach Zygmunto-wskich inflantczycy, pozostający dotąd w ciągłym kontakcie ze swymi pierwotnymi westfalskimi, nadreńskimi i pomorskimi dziedzinami, zostali pociągnięci przez polską kulturę, przez polskie ideały społeczne i stali się najwierniejszymi synami nowej ojczyzny. W obronie Polski przelewali szczerze krew swoją i, rzecz najcharakterystyczniejsza, nawet po trzecim rozbiorze, gdy już im Polska nic dać nie była w stanie, nie sprzeniewierzyli się jej, nie poszli za przykładem swych braci z Kurlandyi i Estlandyi, których pociągnął urok potęgi Rosyi. Zaledwie parę rodów polsko-inflanckich porzucilo po rozbiorach swe polskie tradycje, natomiast nie brakło takich inflantczyków, którzy przelewali swą krew pod sztandarami Kościuszki i w legionach 51 i 63 roku. Dość tu wspomnieć Zyberków, Emilię Platerównę i Ludwika Platę, straconego z rozkazu Murawiewa. Obok tych inflantczyków, którzy krew przelewali dla Polski, możnaby postawić autora pracy wymienionej w nagłówku barona Gustawa Manteuffla, który co prawda nie z szablą w ręku, ale z równie gorącym sercem, jak tamci, pracuje dla idei polskiej. Gustaw Manteuffel od szeregu lat jest dziejopisem Inflant polskich, starając się odtwarzaniem przeszłości zacieśnić węzły, łączące jego ściślejszą ojczyznę z resztą ziem dawnej Polski. Taki cel ma zapewne świeżo ogłoszone studyum sędziwego historyka „O starodawnej szlachcie krzyżacko-rycerskiej na kresach inflanckich”. Stara się w tej pracy Manteuffel zapoznać swych czytelników z genezą, rozwojem i organizacją szlachty polsko-inflanckiej, dać rzut oka na jej pochodzenie, rozsiedlenie, stosunki majątkowe, oraz jej rolę polityczną i kulturalną. Scharakteryzowawszy dzieje ogólne szlachty inflanckiej, przedstawia autor kolejno historię poszczególnych rodów polsko-niemieckich, wreszcie wylicza te rodziny czysto polskiego lub litewskiego pochodzenia, które osiedliły się na Inflantach czy



to drogą nadań królewskich, czy wskutek małżeństw, czy wreszcie drogą kupna. Całą pracę Manteuffla, owianą gorącym umiłowaniem tematu i idei, której służy, czyta się z większą łatwością, niż przeciętne monografie genealogiczne.

D-r Ign. Baranowski.



Z bibliografii krajoznawczej.

- F. Lilienfeldówna.* Wątrobowce Karpat pokuckich w zbiorach H. Łabaszewskiego. Kosmos XXXVI, 1911.
- Włoszyńska Jadwiga.* Zimowy plankton Wuleckiego i Pelczyńskiego stawu. Kosmos XXXVI, 1911.
- Stanisław Fedorowicz.* Gymnosporangium na jałowcu hałnym w górach Świdowskich. Kosmos XXXVI, 1911.
- Kazimierz Houppert.* Puccinia Zopfii Winter w Polsce. Kosmos XXXVI, 1911.
- Tadeusz Wilczyński.* Harpogomyces Łomnickii, nowy rodzaj i gatunek z grupy Hyphomycetów. Kosmos XXXVI, 1911.
- Marya d'Abancourt - Wirstleinowa.* Pierwsza wycieczka botaniczna w Miodobory. Kosmos XXXVI, 1911.
- M. Raciborski.* O sośnie. Kosmos XXXVI, 1911.
- Edmund Malinowski.* „Krzywa“ Jaccarda a łąki podkrakowskie. Kosmos XXXVI, 1911.
- W. Szafer.* Tymczasowa wiadomość o znalezieniu flory staro-dyluwialnej na Wołyniu. Kosmos XXXVI, 1911.
- H. Hoyer.* O kumaku (Bombinator). Kosmos XXXVI, 1911.

Dr. Eug. Kiernik. Jeleń olbrzymi z dyluvium z Ludwinowa ad Podgórze. Kosmos XXXVI, 1911.

Jan Grochmalicki. Trilobus Łomnickii nov. spec. Nowy gatunek nicienia z Siwej Wody. Kosmos XXXVI, 1911.

Faczyński Julian. Badania nad fauną planktonową stawu Brzeżańskiego. Kosmos XXXVI, 1911.

Golański Jan. Tymczasowe wyniki badań nad fauną skąposzczetów wodnych (Oligochaeta limicola) Galicyi. Kosmos XXXVI, 1911.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ W pierwszej połowie sierpnia odbył się w Zakopanem wiec w sprawie ochrony Tatr. Referentem był prof. J. G. Pawlikowski. Uchwalono następujące rezolucje: I. Zgromadzeni: 1) uznają konieczność rozwinęcia szerokiej działalności, celem zabezpieczenia Tatr przed czynnikami, zacierającymi pierwotny charakter ich krajobrazu; 2) wyrażają nadzieję, że właściciele gruntów na obszarze Tatr polskich baczyć będą, aby wszelkie urządzenia komunikacyjne i przemysłowe nie sprzeciwiały się powyższej zasadzie; 3) wyrażają uznanie Towarzystwu tatrzańskiemu za utworzenie „Sekcji ochrony Tatr“ i wyrażają przekonanie, że Towarzystwo przez ten swój organ czuwać będzie nad nowymi urządzeniami w Tatrach, starając się zapobiedz zszpeceniu naszych gór; 4) zwracają się do urzędów gminnych, przełożonych obszarów dworskich, wydziału krajowego starostwa w Nowym Targu i namiestnictwa z prośbą o poparcie celów sekcji ochrony Tatr. II. Zgromadzeni wzywają pp. posłów na sejm i do parlamentu, aby starali się uzyskać w drodze ustawodawczej opiekę nad martwą i żywą przyrodą tatrzańską. Poza tem zaprotestowano przeciwko budowie kolejki na Świnicę.

TREŚĆ: *I. T. Runo* — Podlasie. *Stanisław Lencewicz* — O znaczeniu wykopalisk (dok.). *Emilia Herse* — Rohacze. *M. Federowski* — Zbiory graticzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem (c. d.) (z 3 ryc.). *W. Fiszer* — Przez Węgry na Bukowinę (c. d.) *R. Kobendza* — Kokornak powojowaty (Aristolochia Clematidis L.). — Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Z bibliografii krajoznawczej. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Dom w Węgrowie.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.